



Horyzonty Polityki  
2014, Vol. 5, N° 11

**PIOTR ZAREMBA**

## **Parlament Europejski a sprawa polska. Kilka uwag po ostatnich wyborach**

### *Streszczenie*

Artykuł zawiera uwagi dotyczące znaczenia ostatnich wyborów do Parlamentu Europejskiego dla rodzimej sceny politycznej. Autor rozróżnia pomiędzy polską i europejską stawką tych wyborów, uznając tę pierwszą za zdecydowanie bardziej uchwytną. Nie oznacza to, że kryzysowe tendencje w ramach instytucji europejskich pozostają bez wpływu na pozycje głównych graczy w tej kampanii. Nie ulega wszakże wątpliwości, że mamy tu do czynienia przede wszystkim z kolejną odsłoną rywalizacji pomiędzy dwiema głównymi siłami politycznymi, przy czym utrzymująca się ciągle przewaga partii rządzącej może się stać o wiele bardziej problematyczna właśnie w kontekście nowych wyzwań na poziomie losów Europy.

### **SŁOWA KLUCZOWE**

Parlament Europejski, kampania  
wyborcza, Platforma Obywatelska,  
Prawo i Sprawiedliwość, polska prawica

## THE EUROPEAN PARLIAMENT AND THE POLISH QUESTION: SOME REMARKS IN THE AFTERMATH OF 2014 ELECTIONS

### *Summary*

The article contains a bunch of remarks about significance of the 2014 European elections for the domestic political stage in Poland. A distinction is made between “the Polish stake” and “the European stake” in the elections while the first one should be considered much easier to grasp. It does not follow that crisis tendencies in the European institutions have no impact on the positions taken by the crucial political players in the campaign. Certainly, however, what we see first and foremost is the continual rivalry between the two main political forces, and yet the prevalence of the ruling party we have observed up to now may finally become less obvious just because of the new challenges that Europe as a whole is bound to meet.

### **KEYWORD**

European Parliament, election campaign, Platforma Obywatelska [the Civic Platform], Prawo i Sprawiedliwość [the Law and Justice], the Polish right

Należy zacząć od ustalenia tego, co można nazwać polską stawką tych wyborów. Były to przecież pierwsze w skali całego kraju wybory od roku 2011. Stanowiły próbę generalną przed wyborami parlamentarnymi w roku przyszłym. Dla lidera PiS Jarosława Kaczyńskiego celem było pierwsze od wielu lat zwycięstwo i możliwość objęcia władzy. Dla lidera PO Donalda Tuska – obrona stanu posiadania partii rządzącej od prawie siedmiu lat.

Z tego punktu widzenia każda ze stron miała podstawy do tego, aby obwieścić swój sukces, acz obie zrobiły to raczej przyciszonymi głosami.

### **REMIS I PRZEGRANI**

Dla PiS to znak zdecydowanego odwrócenia tendencji. W roku 2009 PO święciła właśnie w wyborach europejskich swój największy triumf – 44,4%. PiS miał wtedy 27,4%. Tym razem obie partie prawie się zrównały. Skądinąd te wybory przyniosły najlepsze

w historii – ma się rozumieć w procentach, a nie w liczbach – rezultaty partii Kaczyńskiego. Tendencja jest więc wyraźna.

Ale w grudniu zeszłego roku sondaż Homo Homini dawał PiS 10-procentową przewagę nad partią rządzącą. Bardziej ostrożny sondaż precyzyjniejszego w wynikach ośrodka TNS OBOP mówił o 3 punktach przewagi. Z tego punktu widzenia, to Tusk dowiódł swojej żywotności, choć pomogły mu opisane dalej okoliczności zewnętrzne.

Dla Kaczyńskiego to zła wiadomość. Ostateczne wyniki, jeśli przełożyć je na wyniki wyborów parlamentarnych, zapowiadają rządy koalicji PO-SLD lub PO-SLD-PSL. Nie będzie żadnych kłopotów, aby koalicję taką stworzyć.

Ten obraz wzajemnej rywalizacji skomplikowała naturalnie obecność mniejszych partii. Europa Plus Twój Ruch stoczył całkowicie przegraną bitwę o prymat na lewicy z SLD Leszka Millera. Komentatorzy odnotowali tu osobistą klęskę Janusza Palikota, mniej chętnie zwracając uwagę na to, że w istocie przy słabym wyniku Sojuszu Lewicy cała lewica raz jeszcze musi uznać hegemonię Platformy. Całkiem niedawno spekulowano (nawet autorowi niniejszego tekstu nieobce były takie wrażenia), że Miller zdolny jest rzucić Tusкови wyzwanie jako równorzędny partner.

Z kolei na prawicy kilka komitetów: Solidarna Polska Zbigniewa Ziobry, Polska Razem Jarosława Gowina czy narodowcy stoczyli przegrane bitwy o istnienie obok PiS i PO. Waga tych klęsk jest wprawdzie różna – bo na przykład partia Ziobry istnieje od 2011 roku, a partia Gowina powstała tuż przed wyborami, ma więc w teorii jeszcze nadzieję na drugą szansę, ale jest rzeczą oczywistą, że te porażki nikomu nie będą pomagać w dalszej działalności.

Wyjątkiem okazał się Kongres Nowej Prawicy Janusza Korwin-Mikkego. W tym przypadku jest to nagroda już nie za lata, a za dziesięciolecie uporczywego, nawet jeśli mocno sekciarskiego trwania w polityce.

### KONIEC EUROPEJSKIEJ NUDY

Była też dużo bardziej nieuchwytna, europejska stawka tych wyborów. Kampania w skali Europy stała pod znakiem ofensywy eurosceptycznych ugrupowań i erupcji eurosceptycznych nastrojów.

W jednym z sondaży we Francji prawie połowa obywateli wypowiedziała się *de facto* przeciw dalszemu podtrzymywaniu unijnego eksperymentu.

Ostateczny wynik w skali Europy nie wytworzył większości, która skłonna byłaby takie zapowiedzi spełniać. Komisję Europejską będzie wręcz wyłaniać ta sama centrolewicowa koalicja co w poprzedniej kadencji – pytanie tylko, czy bez kłopotów. Ale naturalnie nad europejskimi instytucjami unosi się cień zwątpienia.

Na ile ten klimat dotyczy Polski? Najwięksi euroentuzjaści triumfalnie pokazują sondaże, w których przygniatająca większość Polaków (w ostatnim 87%) wyraża zadowolenie z powodu przynależności do Unii. Z tego klimatu starał się korzystać Donald Tusk – stawiając znak równości między Unią i modernizacją, a w drugim kroku między modernizacją a swoimi rządami. Symbolem tego toku rozumowania stał się sławny już spot *Hey Jude*, który skądinąd z powodu swoich kosztów i samej formuły fundowania prounijnej kampanii za unijne pieniądze mógłby być przykładem patologii europejskich instytucji.

Nie trzeba być jednak eurosceptykiem, aby zauważyć skazy na optymizmie. Łączne wyniki trzech euroentuzjastycznych komitetów wyborczych: PO, SLD i Europa Plus Twój Ruch stanowią mniej niż wyniki samej PO w wyborach poprzednich. Można się też do woli spierać o to, czego wyrazem był ponad 7-procentowy wynik wiecznego przegranego Janusza Korwin-Mikkego. Nawet jeśli bardziej niezadowolona z zabetonowania sceny politycznej i kierunków polityki wewnętrznej, jego wyborcy wpisali się w ogólny trend postrzegania zjednoczonej Europy jako jednego ze źródeł patologii.

Ogólne „tak” dla Unii nie musi też oznaczać przyzwolenia dla konkretnego kierunku integracji. Systematycznie na przykład ponad połowa Polaków odrzuca jedną z podstawowych konsekwencji kierunku federalistycznego, czyli wspólną walutę europejską. W wątpliej powyborczej debacie tacy ludzie jak Aleksander Smolar i takie ośrodki jak tygodnik „Polityka” przyznały, że mamy do czynienia z poważnym kryzysem samej Unii i unijnej tożsamości. Wezwali do poszukiwania remediów, ale nie wyszli poza ogólniki. Brak pomysłu, co trzeba zmienić, żeby wszystko zostało po staremu.

## JEDNAK O EUROPIE

Polscy komentatorzy pocieszają się, że używając nie całkiem gramatycznego języka premiera Tuska, te wybory były „w niewielkim stopniu o” sprawach międzynarodowych czy europejskich. Było to zresztą częstym powodem ich krytykowania przez mainstreamowych komentatorów.

Po części trzeba się zgodzić: powiązanie powodzenia własnej partii z tematyką europejską w przypadku Tuska sprowadzało się do dwóch prostych sztuczek. Po pierwsze, do wspomnianego już równania Unia-modernizacja-Platforma (jej odpowiednikiem w kampanii poprzedniej była zapowiedź uczynienia Jerzego Buzka przewodniczącym europarlamentu). Po drugie, do związanego z doraźnym kontekstem twierdzenia, że „silniejsza” (czytaj bardziej scentralizowana) Unia będzie skuteczniejszym lekiem na zagrożenie ze strony Władimira Putina.

Odpowiedzią partii Jarosława Kaczyńskiego była dość konsekwentna ucieczka w stronę tematyki krajowej. Jeżdżąc po kraju, prezes PiS rozprawiał o reindustrializacji Polski i o korzystniejszej polityce dla rolnictwa. Z jednej strony usiłował rozliczyć PO za jej prawie siedmioletnie rządy, z drugiej przywabić do urn (dodajmy – ze średnim skutkiem) te grupy wyborców, które były prawicy potrzebne do zwycięstwa: prowincję i zwłaszcza wieś.

Także inne partie dość bezceremonialnie mieszały tematykę europejską z krajową – łącznie z euroentuzjastycznym komitetem Palikotta, który przechodził płynnie od zachwytów nad pełną integracją do rozważań o sensie obrony OFE czy do obietnic antyklerykalnych. To wrażenie potęgowały jeszcze wyjątkowo obfite i często niezbyt mądre spoty poszczególnych kandydatów, którzy w następstwie takiej a nie innej ordynacji zmuszeni byli bić się o swoją indywidualną pozycję.

Można się na taką sytuację zżymać i można jej też bronić. Jeden z najsensowniejszych europosłów poprzednich kadencji Konrad Szymański trafnie zauważył na łamach pisma „Rzeczy wspólne”, że uporczywe skręcanie kampanii europejskich w kierunku tematyki krajowej (nie tylko w Polsce, porównajmy na przykład sytuację w Czechach) to w istocie triumf życia nad abstrakcyjnym dogmatem.

Ciało zbierające się w Strasburgu nie jest parlamentem z prawdziwego zdarzenia, nie wyłania rządu z prawdziwego zdarzenia,

zaś związek między jego decyzjami a życiem codziennym obywatela każdego kraju europejskiego jest nieoczywisty, a czasem trudny do uchwycenia. W tej sytuacji politycy „nacionalizujący” tematykę tych wyborów ratują w jakimś sensie ich demokratyczny charakter i przyciągają choć trochę wyborców do urn.

Z drugiej zaś strony twierdzenie, że te wybory nie były w Polsce choć trochę powiązane z tematyką europejską, także jest odrobinę na wyrost. Świadczy o tym już sama formułka Tuska o przeciwstawieniu „silnej Unii” Putinowi, na co PiS dociskany przez dziennikarzy jednak czasem odpowiadał.

Tak naprawdę wszystkie partie artykułowały też w jakimś zakresie swoje europejskie programy, nawet jeśli rzadko korzystały z nich w spotach pokazywanych w bezpłatnych pasmach wyborczych w publicznej telewizji. Wychodziły one jednak raz za razem: w telewizyjnych debatach czy wywiadach prasowych.

Podział być dość klarowny: federalistyczny program PO, SLD i bloku Palikota ścierał się z eurorealistycznym programem PiS, partii Gowina i Ziobry wzywających, aby tempo integracji zwolnić – jednak bez rozwalania Unii. Można by rzec, że najbardziej „europejski” okazał się Janusz Korwin-Mikke rozprawiający nieustannie o tym, w co zmieni ociężałego unijnego kolosa. Europejski w tym sensie, że trudno odmówić jego nawiedzonym tyradom związku z kierunkiem debaty na całym kontynencie.

## O JEDNYM CO UKRADŁ PIORUN

Innym zarzutem, jaki formułowano wobec tej kampanii, był jej niemrawy, jakby wewnętrznie zablokowany charakter. Wynikał on w dużej mierze z prostoty pomysłu Tuska na kampanię i z przypadkowej tematyki. W końcu to nie polscy politycy zamówili sobie przypływ rosyjskiego imperializmu.

Premier wprzągnął go jednak w swoją polityczną ofensywę, posuwając się po ryzykownej granicy. W przemówieniu na pierwszej konwencji wyborczej PO sugerował zagrożenie wojenne, wypowiadając sławne już zdanie o dzieciach, które pierwszego dnia września mogą nie pójść do szkoły. Konsekwencją były też inne tricki, choćby wiązanie PiS z eurosceptyczną falą na Zachodzie i sugerowanie, że

także Kaczyński, tak jak Nigel Farage i tak jak francuski Front Narodowy (nie mówiąc o Korwin-Mikkem), działa na rękę Rosji.

Była to strategia oparta na paru prostych skojarzeniach, łącznie z prezentowaniem wcześniej konsekwentnie wystrzegającego się twardości szefa rządu jako przywódcy nieomal wojennego. W amerykańskiej polityce lat 30. ubiegłego wieku nazywano coś takiego „kradzieżą pioruna” – w tym przypadku ukradziono go obu braciom Kaczyńskim, naśladowując bez mała ich język.

Ta strategia miała jednak swoje konsekwencje. Ponieważ Tusk zaczął kampanię jako ponadpartyjny przywódca gromadzący wszystkich liderów na wojennych naradach, nie mógł całkiem wyjść z tej roli. Owszem, pod koniec polemizował ostro, ale nie posunął się dalej.

Zaproszono na wspólny pokład Platformy Michała Kamińskiego, ale nie odegrał on takiej roli jak w poprzedniej kampanii – kiedy to cichcem, z pozycji europarlamentarzysty PjN podsuwał sztabowi PO pomysły, jak sprowokować Jarosława Kaczyńskiego. Choć nakręcono kilka złośliwych spotów, czarny PR nie ogrywał zasadniczej roli. Wciąż czekano na finałową wojnę totalną, ale okazała się ona zadziwiająco ograniczona.

## TROSKI TUSKA, TROSKI KACZYŃSKIEGO

Można się naturalnie zastanawiać nad innymi decyzjami Platformy. Czy na przykład triumfalistyczny ton spotu *Hey Jude* pasował do obecnego stanu świadomości Polaków? Niewątpliwie i do nich docierają europejskie niepokoje. Na ile Tusk powinien się wiązać z trzeszczącym europejskim projektem w stu procentach, a na ile pozować na jego reformatora? To charakterystyczne, o ile przemawiający tonem finansisty Jacek Rostowski (skądinąd przegrany kandydat z listy PO z Bydgoszczy) zalecał wstrzymanie się z forsowaniem na siłę euro, o tyle Tusk i Sikorski używali europejskiej waluty jako synonimu „silnej Unii” i zapowiadali jej szybkie zaaplikowanie Polsce.

Możliwe zresztą, że głównym odpowiedzialnym za to, iż kampania była tak wewnętrznie zablokowana, że aż nudna, okazał się PiS. Gdyby przedstawiać tę partię jako jedną postać, jawił się jako spięty jegomość, nieustannie pilnujący się, aby nie popełnić gafy. Zważywszy na to, że słabością poprzednich kampanii tej partii stawały się

słowne wpadki Jarosława Kaczyńskiego w ostatnich tygodniach, była to blokada błogosławiona.

Nie powiedziano niczego strasznego, możliwe, że nawet gdyby Michał Kamiński dostał odpowiednie rozkazy, nie zdołałby sprowokować swego dawnego lidera, który rzadko wdawał się w polemiki, a przeważnie stanowił temat elegijnych obrazków z sielską prowincją w tle.

Co nie oznacza, że nie warto postawić pytań o ogólną ocenę kampanii PiS. To prawda, Tuskwowi było dużo łatwiej – z powodu podsunętego przez los tematu ukraińsko-rosyjskiego, a w szerszym sensie z powodu medialnej przewagi. Kiedy Kaczyński próbował odpowiadać, kwestionując wiarygodność nowej linii rządu w sprawach wschodnich, nie tylko sztab PO, ale tabuny dziennikarzy zarzucały mu zerwanie ponadpartyjnego porozumienia. Kiedy wybierał bezpieczne milczenie, szydzono z niego, że miast o Ukrainie rozprawia o wędzeniu wędlin.

Ale można się zastanawiać, czy politycy PiS z samym Kaczyńskim nie powinni próbować rozbroić wygodną formułkę Tuska: „Silna” Unia jako najlepszy lek na agresję Putina. Polemika byłaby bardziej skomplikowana niż samo hasło, niemniej zwrócenie uwagi na to, że Unia bardziej scentralizowana niekoniecznie prowadziłaby odważną politykę wobec Rosji, nasuwało się samo. Jeśli coś takiego padało, to nieomal przypadkiem.

W szerszym sensie autorzy tej kampanii PiS nie znaleźli żadnego ogólnego przesłania, czy nośnego symbolu, który mogli przeciwstawić rządowej propagandzie. Czegoś takiego jak pusta lodówka i hasło „Polski socjalnej” w roku 2005. Czy to by pomogło? Przyniosło więcej? Nie wiem. Konstatuję pewną przypadkowość haseł i przekazów. Odwołanie się do tematyki krajowej okazało się bezpieczne. Nie było jednak receptą na zwycięstwo.

Oczywiście można się zastanawiać także nad konsekwencjami polityki Kaczyńskiego w ostatnich latach. Do sukcesu obiecującego przyszłe rządzenie zabrakło mu 7% Solidarnej Polski i Polski Razem Gowina. To prawda, ta pierwsza partia została wykreowana głównie po to, aby zaspokoić personalne ambicje Ziobry i Jacka Kurskiego. Ale polityka to także gra takich ambicji i trzeba na nie szukać politycznych, pokojowych, a nie tylko wojennych odpowiedzi. Prezes PiS zdaje się uważać, że do ambicji prawo ma tylko on.



Wydaje się, że nie doceniając szczególnie samoistnej wagi wyborów europejskich, potraktował on te wybory jako narzędzie utwierdzenia kontroli nad własną reprezentacją w europarlamencie. Trudno się temu dziwić, skoro w poprzedniej kadencji stracił ponad połowę swoich europosłów. Ale wydaje się, że środki zaradcze nieco przerosły rozmiary choroby.

Wiązało się z tym pozbycie się kandydatów choćby hipotetycznie niegwarantujących pełnej dyspozycyjności (ceniony przez wszystkich Konrad Szymański w Wielkopolsce). Wiązała się z tym także najbardziej ryzykowna decyzja: ograniczenie do minimum roli kandydatów popieranych przez Radio Maryja.

W tym pierwszym przypadku można się zastanawiać, czy nie zrezygnowano w kilku sytuacjach z wartości dodanej, jaką przynosi kandydaci barwniejsi, z autorytetem – nie tylko w Wielkopolsce. Przy generalnie nie najgorszej jakości większości jedynek, a czasem dwójek na PiS-owskich listach. Chyba wyczuli to nawet prawicowi wyborcy, skoro nie zawsze wystarczyła sama fotka z prezesem. W kilku przypadkach osobiście przez niego namaszczeni kandydaci przepadli – jak Hanna Foltyn-Kubicka w Warszawie czy Wojciech Jasiński na Mazowszu.

Jeśli chodzi o Radio Maryja, chęć uniezależnienia własnych europosłów od konkurencyjnego ośrodka można tym bardziej zrozumieć. Tu odpowiedź o efekty nie jest zresztą jednoznaczna. Bez zmasowanego wsparcia ojca Rydzyka listy PiS uzyskały najlepsze wyniki w swojej historii. Ale w paru przypadkach był on w stanie wywrócić naturalną kolejność na listach PiS, nie mówiąc już o pytaniu, czy to nie jemu może zawdzięczać 4-procentowy wynik Zbigniew Ziobro. A powtórzmy, to brakujące 4%.

### WYBORY: RECEPTA NA KONTROLĘ

Tusk nie miał takich kłopotów. Symbolem jego pełnej władzy nad partią stał się sam sposób kierowania kampanią. Jak opowiadał autorowi niniejszego tekstu ważny niegdyś doradca premiera, były to chyba pierwsze wybory w ogóle „bez sztabu”. Zespół ludzi określany tym mianem, na czele z europosłem Tadeuszem Zwiefką, nie miał osobistej styczności z liderem i zajmował się problemami czysto

technicznymi. Realne decyzje polityczne zapadały w kancelarii premiera, a przekazywał je wykonawcom zausznik Tuska Paweł Graś.

Mniejsze znaczenie niż w przypadku PiS miały też twarze na listach, choć trzeba przyznać, że Tusk dokonał pewnego przesiania własnej reprezentacji – na 25 europosłów poprzedniej kadencji, aż 10 w ogóle nie wystawiono, w tym tak znanych postaci jak Krzysztof Lisek czy Sławomir Nitras (oddzielnym przypadkiem była ofiara własnej słabości, Jacek Protasiewicz).

Trudno do końca orzec, które decyzje miały charakter marketingowy, a które wewnątrzpartyjny. Czy wystawienie aż pięciu dawnych lub wciąż urzędujących ministrów to wartość dodana dla wyborców, czy recepta na bezkolizyjną politykę kadrową? Dwójka z nich nawet się nie dostała. Pomińmy też eksperymenty jeszcze bardziej nieudane, jak postawienie na sportowych celebrytów z Otylią Jędrzejczak na czele.

Widać jednak wyraźnie, że Platformie udało się wytworzyć wrażenie przynajmniej zawiązków zespołu wyspecjalizowanego w europejskiej tematyce. Dotyczy to takich postaci jak Jacek Saryusz-Wolski, Danuta Huebner, Jerzy Buzek czy Jan Olbrycht, przy czym waga intelektualna poszczególnych postaci może być różna, ale liczy się przekaz.

Zarazem trudno się oprzeć wrażeniu przesuwania się tego zespołu w lewo. Tacy ludzie jak Paweł Zalewski czy Bogusław Sonik musieli się zadowolić trzecimi, w ostateczności niebiorącymi miejscami. W roku 2009 mieli drugie. Symbolem tej ewolucji jest naturalnie zwłaszcza dominująca pozycja bezbarwnej Danuty Hübner.

To ona, a nie Saryusz-Wolski przejęła kierownictwo grupy parlamentarnej Platformy po rezygnacji Protasiewicza. Wywodząca się z otoczenia Aleksandra Kwaśniewskiego, obecna bardziej w europejskich gremiach niż w polskich debatach, jest przedstawicielem nowego typu unijnego polityka słabo związanego z opinią publiczną we własnym kraju.

Tyle że ci politycy są dzisiaj w pewnej defensywie. Można by rzec, że ostrożne wobec szybkiej integracji stanowisko Kaczyńskiego, nawet jeśli czasem wyrażane hałaśliwą retoryką, ma szansę zostać uznane przez Polaków za bardziej realistyczne. Pytanie, jak wielką wagę przywiązuje do gry w europejskich instytucjach on sam.

Powtórzmy, eurowybory potraktował w o wiele większym stopniu jako krajowy plebiscyt i jako narzędzie utrwalenia swojej kontroli

nad politycznymi funduszami, które częściowo wywodzą się również ze środków europarlamentu.

Jego wielka władza nad partią nie gwarantowała pełnej spójności nawet sztabowi wyborczemu, rozrywanemu rywalizacją między szefem partyjnego aparatu Joachimem Brudzińskim a rzecznikiem Adamem Hofmanem, przy stosunkowo słabej, raczej mediacyjnej roli formalnego szefa kampanii Andrzeja Dudy. A sam Kaczyński nie uniknął zabawnych wpadek – łącznie z prawie otwartym zwalczaniem własnych kandydatów z dalszych miejsc: związanego z Radiem Maryja Mirosława Piotrowskiego w Lublinie i profesora Andrzeja Zybortowicza w Bydgoszczy.

Ale oczywiście w ostateczności pęknięcia nie okazały się groźne. Lider ma szansę na ściślejszy nadzór nad 19-osobową reprezentacją. Pytanie, jak tego nadzoru użyje.

Na razie myśli kategoriami potencjalnych zagrożeń dla swojej władzy – martwiąc się na przykład wyborem i dobrym wynikiem swojego jedyne koalicjanta startującego w Warszawie, Marka Jurka. Nieobca mu jest zarazem idea jakiejś gry w Brukseli i Strasburgu – tu symbolem jest pokusa niektórych staro-nowych europarlamentarzystów z Ryszardem Czarneckim na czele, aby próbować się wcisnąć do mainstreamowej Europejskiej Partii Ludowej. Kłopot w tym, że między zazdrosnym pilnowaniem zasady ręcznego sterowania a rozmachem gry w odległych miastach może powstać napięcie.

## ODREAGOWAĆ I CO DALEJ?

To samo dotyczy wniosków w polityce czysto krajowej. Tu obaj: Tusk i Kaczyński formułują je w sposób nader wąski, by nie rzedziały. Ten pierwszy korzysta z poczucia niepełnego sukcesu, aby zainicjować rozprawę z Grzegorzem Schetyną, choć cała wina tego konsekwentnie marginalizowanego od paru lat polityka polega na kilku enigmatycznych wypowiedziach podczas kampanii nacechowanych co najwyżej brakiem entuzjazmu.

Nie na tym polegają słabości Platformy. Jeśli refleksja sprowadzi się do tego, tendencji spadkowej nie da się w następnych miesiącach powstrzymać, zwłaszcza gdy widmo Putina cokolwiek zbliżenie. Choć naturalnie wrażenie frontального poparcia ze strony

mainstreamu trochę ten pesymizm niweluje. To się wciąż jawi jako proste rezerwy.

Kaczyński angażuje się z kolei w akcję swoistej wojennej mobilizacji, jakby chciał odreagować czas wymuszonej powściągliwości podczas kampanii. Swojemu elektoratowi funduje satysfakcję w postaci wyborczych protestów. Jest to kierunek psychologicznie zrozumiały, ale ryzykowny. Twardy elektorat uwierzy, że „znowu nas oszukali”, ale cała reszta może uznać PiS za partię warcholską i nieudaczną, nieumiejącą się pogodzić z przegraną.

Wobec pokonanych rywali z prawicy Kaczyński stosuje z kolei ton pod tytułem „zero tolerancji”, zapowiadając sięganie raczej po ich wyborców niż po personalne porozumienia. Dla porządku trzeba odnotować, że przynajmniej Gowin miał kiedyś ofertę startu z list PiS, a obawa przez przemianą zwartej partii, będącej w wielu wypadkach obleżoną twierdzą, w swarliwy i nieskuteczny AWS nie jest bezsensowna. Niemniej choćby pozorowanie kadrowego otwarcia bywa receptą na sukcesy. Tusk korzystał z tego narzędzia kilkakrotnie. Kaczyński korzystał także – to choćby przypadek Marka Jurka. Im szybciej użyje ich teraz, tym dla niego lepiej.

Czas powyborczych obrachunków dotyczy także innych ugrupowań. Zafascynowanych widowiskową klęską Palikota, w dużej mierze wynikłą z jego chaotycznego przesłania i z błędów podczas kampanii, warto raz jeszcze uczulić na szerszy kontekst.

Cała lewica przeżywa strukturalny kryzys. Słaby, nieco ponad 9-procentowy wynik partii Leszka Millera zapowiada go także. Możliwe, że to dla Tuska sygnał, aby zaczął połowy na tamtych wodach, rekompensując sobie straty na innych frontach. Spektakl wokół śmierci i pogrzebu Jaruzelskiego to zapowiedź tego procesu – w Polsce lewicowa jest niestety także co najmniej tolerancja wobec spuścizny PRL.

Jeśli ten kierunek ewolucji sceny się utrwali, oznaczać to będzie stopień najbardziej ostentacyjnych antykościelnych, jeśli nie antyreligijnych ekscesów – klęska Palikota pokazuje, że nie są one dla Polaków czymś szczególnie atrakcyjnym. Ale też zespół lewicowych poglądów i przesądów będzie coraz konsekwentniej przenoszony do mainstreamu. Ich absorbowanie przez amorficzną partię władzy, jaką jest dziś Platforma, będzie miało takie konsekwencje. Nie są to z perspektywy autora tego tekstu konsekwencje przyjemne.

To wszystko naturalnie pod warunkiem, że te wybory nie są zapowiedzią większych i bardziej definitywnych procesów. Słysząc dzisiaj, chciałoby się powiedzieć „gołym uchem”, że europejski projekt trzeszczy. Donald Tusk i Radosław Sikorski związali się z jego najbardziej ortodoksyjną wersją. Jeśli to coś więcej niż chwilowy kryzys, stwarza to dla nich zagrożenie.

Z jego nieuchronności uczynili przecież w ostatnich latach ważny argument legitymacji swojej władzy. Konstatacja jego niepowodzenia to coś więcej niż zmiana kursu wobec Rosji. Przyznanie, że na tym polu to nie oni mieli rację, a eurorealiści, groziłoby nieobliczalnymi konsekwencjami. Gorączkowe narady premiera z jego specem od PR Igiem Ostachowiczem mogłyby w takim przypadku nie wystarczyć.

I zresztą cały ten wniosek nie wykracza poza techniczne pytanie: kto kogo. Może to „o tym były te wybory”, tylko mało kto to zauważył?